Rok 1937 28 listopada Nr 48

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"

W ADWENCIE

Z ostatnią niedzielą okresu zwanego po Zielonych Świątkach, przeżyliśmy znowu rok jeden, rok kościelny i z nastającym Adwentem wkraczamy w nowy.

Adwent — czas nadejścia, czas oczekiwania Tego, o którym przepowiadali prorocy, o którym mówiły księgi święte, którego wyglądało z utęsknieniem tyle pokoleń ludzkich.

Dla nas chrześcijan owe długie wieki oczekiwania zamykają się co roku w cztery tygodnie zimowe, aby się zakończyć przeradosną nocą z 24 na 25 grudnia, nocą Bożego Narodzenia. Co roku w takich skrótach przeżywamy całe okresy dziejów, które odmieniły oblicze świata, odmieniły dusze, serca i poznanie ludzkie; okresy, które z pogan nieświadomych celu swego istnienia, zrobiły wyznawców Chrystusa, wiedzących i rozumiejących, czem powinno być życie ludzkie na ziemi i co nas po nim oczekuje.

Ale czy wszyscy zdajemy sobie należycie z tego sprawę? Czy nie jesteśmy może niekiedy podobni owym żydom, co sobie wszystko obiecywali z nadejściem Mesjasza, tylko nie to, z czym On naprawdę przyszedł na świat. Błędnie Go sobie wyobrażali, błędnie tłumaczyli Jego przyjście, błędnie go w późniejszym Jego życiu rozumieli — i w błędach uparcie, a złośliwie trwając, wydali nań wreszcie wyrok śmierci.

Czyż my jednak możemy błędnie rozumieć naukę Jezusa Chrystusa? Wszak oświeceni jesteśmy światłem Wiary prawdziwej, która już życiem nam się stała, naszą krwią i ciałem, przeniknęła nam dusze na wskróś. A chociaż z powodu ułomności naszej często upadamy, często Zbawcę naszego obrażamy, a nawet znieważamy, to jednak w głębi serc miłujemy Go szczerze, gorąco i pragniemy służyć Mu jak najwierniej do końca życia.

Tak; słabi jesteśmy wszyscy i wszyscy niedoskonali. Ale oto przed nami czas Adwentu... Postanówmy wykorzystać go na ulepszenie siebie, na udoskonalenie się — i to wszyscy: tak starzy, jak młodzi. Każdy ma z sobą wiele do roboty, niechaj więc śpieszy się, bo to nie „cztery tysiące lat", jak śpiewa kolęda, ale tylko cztery tygodnie tego Adwentu św.

Jeśli jednak od pierwszego zaraz dnia, od pierwszej jego godziny, zaczniemy w każdej naszej myśli i słowie i uczynku kontrolować się, poznawać wady nasze i winy i z nich się trwale podnosić, — wtedy bądźmy pewni, że gdy nadejdzie błogosławiona Noc Bożego Narodzenia, pełna radości i szczęścia, słowa Anioła o pokoju dla ludzi dobrej woli będą i dla nas prawdziwym głosem z Nieba. **O.**

Gdy się zima zaczyna

Pamiętamy wszyscy tego lata, jak raz za razem ukazywały się w gazetach wprost nieprawdopodobne wiadomości o całych chmarach motyli, zwanych bielinkami kapustniakami, które przelatywały dalekie przestrzenie, aż wreszcie,

niby szarańcza, opadały na pola i ogrody. Pod żarłocznymi szczękami ich gąsienic znikały w mig całe łany kapusty, kalafiorów, czy kalarepy. Klęski takie powtarzać się mogą bardzo często, a ludzie sprawy sobie niekiedy nie zdają, że sami się do tego przyczynili i że właśnie w ich mocy leży klęskom takim zapobiec.

Spytacie zdziwieni — jakim to być może sposobem, przecież nie będziemy łapać tysiącami motyli, ani milionami tępić ich jajek. Oczywiście, byłby to trud ponad siły człowieka. Ale wyręczą go w tym istotki po wielekroć od niego mniejsze, a są nimi wszelkie ptaki owadożerne. Tymczasem właśnie te najpożyteczniejsze w świecie stworzenia są przez ludzi tępione ku ich własnej szkodzie.

Dawno już uleciały od nas wszelkie śpiewaki letnie, pozostało jednak jeszcze wiele innych ptaków i to może najpożyteczniejszych, które spędzą zimę między nami, jak sikorki, mysikróliki, żeby wyliczyć tylko najmniejsze. Ciężka czeka je dola, mróz i głód czyhać na nie będzie dnia każdego i każdej nocy przez wiele miesięcy. Trzeba je ratować, ocalić przed śmiercią, zachować na radosne dni wiosenne. Jakże się one odwdzięczą wtedy, jak będą pożyteczne!

Więc jak to robić? Podkarmiać je, w ustronnych miejscach stawiać małe budki, w których sypie się ziarno, zawieszać na gałęziach skrawki słoniny, patyki oblepione smalcem i nasieniem konopnym, które lubią zdzióbywać różne ptaki owadożerne. A dbać trzeba przede wszystkim, żeby ta skrzydlata rzesza pomocników ogrodnika osiedlała się w pobliżu ludzkich osad, najlepiej w samym ogrodzie czy sadzie. Służą do tego specjalne skrzynki, które się umieszcza na pniach drzew, wśród krzewów i zarośli. Ptaszki przez czas jesieni i zimy przyzwyczają się do nich, a z nadejściem wiosny w nich się osiedlą, wywiodą z jajek młode, dla których tysiącami znosić będą robaki, gąsienice i wszelkie owady, które są właśnie najstraszniejszymi wrogami rolnika, ogrodnika czy sadownika.

Sikorki i mysikróliki — według jednego z przyrodników — zjadają dziennie tyle owadów, że gdyby je zważyć, okazałoby się, że pokarm ten przewyższa dwa razy wagę samego ptaszka. Niektóre ptaki w porze ciepłej żywią się prawie wyłącznie owadami, a zjadają nie tylko dorosłe owady, lecz także wyszukują ich gąsienice, poczwarki, a nawet jajeczka.

Jakąże tedy opieką winniśmy otoczyć te kochane stworzenia, na które przecie ze wszystkich stron tyle czyha niebezpieczeństw, a przeciwko którym są one prawie bezsilne. Szczególnie młodzież wiejska powinna wziąć w obronę ptactwo, gdyż tym zasłuży się swojej wsi rodzinnej i gospodarstwu rolnemu całego kraju.

Koguty bojowe

(Dokończenie).

Miejscem takich walk bywa zazwyczaj jakaś obszerna szopa czy stodoła, dość odsunięta od drogi, nie tylko, aby ukryć zakazane przez władze widowisko, ale także, by głośne pianie czekających na swą kolej zapaśników nie zwracało uwagi. Hodowcy przynoszą w zakrytych klatkach swoich wychowanków, których po porządku wypuszczają na ogrodzone klepisko. Odrazu rozlega się pianie kogutów w klatkach i okrzyki widzów, żądnych krwawej zabawy. Niecierpliwość obustronna rośnie, to też skoro tylko przeciwnicy staną sobie oko w oko, walka zacięta się rozpoczyna.

Koguty biją się zawzięcie, ale nie każdy pojedynek kończy się śmiercią. Do zaprzestania walki wystarcza, gdy jeden z zapaśników stanie się do niej niezdatny, albo — co jednak rzadko kiedy się zdarza — gdy jeden z nich z pola bitwy ucieknie. Taki tchórz okrywa hańbą nie tylko siebie, ale i swego właściciela; przynosi też stratę pienięż-

ną i temu, kto licząc na jego zwycięstwo, zapłacił stawkę.

W ogóle ludzie zgrywają się na walkach koguciech podobnie, jak na wyścigach konnych, robiąc zakłady o to, kto zwycięży, przy czym tracą lub zyskują bez trudu poważne sumy w sposób niegodny kulturalnego narodu.

Podobne widowiska są zresztą niemoralne, gdyż rozbudzają w człowieku, a zwłaszcza u młodzieży najniższe instynkta, uczą okrucieństwa, dają przyjemność w oglądaniu krwi i mordów. To też pragnąć-by należało, ażeby zostały nareszcie z życia przynajmniej ludów chrześcijańskich zupełnie usunięte.

ROZWIĄZANIE ZAGADKI LITEROWEJ Z NUMERU 46:

kos, osa, kosa, kotka — Kostka.

Z osobliwości podróżniczych



Rycina przedstawia słynną na cały świat wieżę w włoskim mieście Piza. Jest ona na 55.2 metrów wysoka i posiada 8 pięter. Zbudowana została w XII lub XIII wieku. Z powodu obsunięcia się podłoża, mocno się skrzywiła, lecz mimo to trwa w tej postawie przez długie wieki, co świadczy o niezwykłej umiejętności budowania w dawnych czasach. Wieża pizańska stanowi przedmiot niesłabnącej ciekawości podróżników z całego świata, którzy chcą na własne oczy przekonać się o jej skrzywieniu. — Kto zaś sam oglądać jej nie może, tego niech przekona rycina, która w ciekawy sposób pokazuje, jak bardzo odchyla się wieża pizańska od pionu, a wiadomo, że tylko z pomocą takiego przyrządu murarze mogą utrzymać prosto padły kierunek budowy. Oczywiście, ustawienie tutaj kobiety, trzymającej pion w taki sposób, że wygląda jakby była wyższą od samej wieży, jest już tylko *sztuczką* fotografa, który posłużył się w tym wypadku dwoma zdjęciami.

Patrol Lwów

Powieść harcerska. Napisał Kazimierz Kalinowski

(Ciąg dalszy)

— Świetny z niego rysownik — objaśniał Leszek — zakochany w Grottgerze... A z niemniejszym talentem, gdy czego zastępowi potrzeba, oddaje się stolarstwu lub ciesielce.

Kolej przyszła na ślicznego bruneta, śmigłego górala, o rok od tamtych starszego, który z Leszkiem i Januszem, ukończywszy V klasę, miał nadal chodzić do gimnazjum w Krakowie, w przeciwieństwie do innych gości Zawiszy, ci bowiem wszyscy po wakacjach mieli kształcić się w szkołach prywatnych w Warszawie.

— Stach Sokolik, gość z Podhala. Tu na równiach od gór zdala, zmoże go tęsknoty fala, choć trefnisia, dowcipnisia stanowisko ma w obozie.

— Choć pod wozem, czy na wozie — dokończył niespodziewanie sam góral, widząc, że improwizator zawahał się, jakby szukał rymu. A kiedy ten, nieco stropiony takim wpadnięciem mu w słowa, spojrzał z pewnym zdziwieniem na towarzysza, Sokolik dodał sam jeszcze słówko o sobie, również z miejsca rymując:

— Na szkolnej ławie licho się miewam, zato chętniej druhom śpiewam. Z trudem wytrzymam długo z powagą: zatańczyć wolę z ciupagą.

Roześmiali się wszyscy, istotnie bowiem Stach nie tylko śpiewał pięknie barytonem, ale był także zawołanym tancerzem. Wisłocki wskazał wreszcie najniższego wzrostem z pomiędzy Lwów 14-letniego realistę, który z trudem mógł ustać w miejscu spokojnie, bo nogi jego ciągle odrywały się od ziemi mimochodem.

— Bogusławski Tadzik, mały, inżynierii oddan cały. Wprawdzie pochodzi z fabrycznej Łodzi, lecz po ziemi, ani chodzi ani brodzi, nad brud świata orłem wzlata. ziemia zbrzydła, więc mu skrzydła do ramion przypina awiata

Góral widząc, że „urzędowy“ poeta, przedstawiwszy druhów stryjowi ich dowódcy, cofa się, pośpieszył przedstawić i jego, nie chcąc zaś zrobić tego słabiej od poprzednika, pod względem formy, improwizował również, dobierając rymów:

— Janusz Wisłocki, pieśniarz obozowy. Śpiewkę wesołą, hymn ma codzień nowy; gdy przy ognisku zastęp druhów gwarzy, on z wieszczem okiem na uboczu marzy. Ducha krzepi, serce wzrusza przodownicza pieśń Janusza.

— Brawo — krzyknął dziedzic rozbawiony — ależ macie aż dwóch poetów... Znam już zatem cały patrol Lwów, dodał obróciwszy się naraz ku drzwiom jadalni, które zrozpaczona spóźnioną wieczerzą Borońska otwierała, ukazawszy dymiące półmiski na stole. Gospodarz niecierpliwie czekał tylko jej znaku, że wszystko gotowe.

A wtedy wśród chwilowej ciszy zabrał głos ponownie Janusz, zwracając się żartobliwie do kierownika zastępu:

— Teraz, druhowie, gdy padła cisza, niech nasz chorąży Leszek Zawisza milczkiem powiedzie oddział swych Lwów, gdzie zamiast słów — ziemniaków w bród; a dzielnie zmiata, jak wrogów świata, z pełnych talerzy — młodych harcerzy głód.

NOCNI STRÓŻE

Było już dobrze po północy, gdy w stodole ucichło. Wrzawa trwała zaledwie kilkanaście minut, ale wystarczyła, by spłoszyć wszystkie myszy, nie przywykłe do nocnych niepokojów w gumnie. Chłopcy porzuciwszy miłą, lecz zbyt późno przeciągającą się po wieczerzy pogadankę ze swym nowym starszym przyjacielem, padli na świeże pachnące siano z większą rozkoszą, niż na najwygodniejsze łóżka i znużeni podróżą, zasnęli natychmiast.

(Ciąg dalszy nastąpi).